

**George Alec Effinger**

## **JEDEN**

Był Rok 30, Dzień pierwszy, rocznica opuszczenia Ziemi przez doktora Lesliego Gillette'a. Stojąc samotnie przy oknie, wpatrywał się w pusty obszar przestrzeni zerowej.

- O ósmej temperatura w pustce międzygwiazdnej jest ujemna i wynosi dwieście siedemdziesiąt trzy stopnie Celsjusza - rzekł. - Zimno. Nawet bez wiatru i jego współczynnika chłodzenia. Cholernie zimno.

Tablica poinformowała go tego ranka, że statek i jego samotny pasażer - jeszcze nim pójdzie spać - dotrą w sąsiedztwo układu planetarnego. Gillette nie przypominał sobie nazwy gwiazdy - był to tylko numer katalogowy. Już dawno temu stracił wszelkie zainteresowanie gwiazdami. Początkowo, przez kilka pierwszych lat, gdy jeszcze miał przy sobie Jessicę, z zapalem prosił tablicę, by wskazywała im położenie każdej widocznej na nocnym niebie Ziemi. Odczuwali pewną przyjemność w badaniu z bliska tych, które rozpoznawali jako fragmenty głównych gwiazdozbiorów. To już minęło. Po odwiedzeniu kilku tysięcy gwiazd nie byli już tak zainteresowani. Odkryli jeszcze więcej ciał planetarnych i poszukiwania niemal ich znużyły. Niemal. Gillette'owie nadal mieli wtedy w sobie dosyć naukowej ciekawości, by podążać naprzód, coraz dalej od punktu startowego.

Teraz jednak nie było już pierwotnej inspiracji. Zamiast czekać przy oknie, aż elektroniczny nawigator wsunie statek z powrotem w normalną przestrzeń, Leslie Gillette odwrócił się i opuścił sterownię. Nie miał nastroju do poszukiwania planet nadających się do życia. Robiło się późno i mógł się tym zająć nazajutrz rano.

Nakarmił natomiast swego kota. Wybrał kod i wziął kocią kolację ze zsuwni kambuza.

- Masz tutaj - rzekł. - Jedz ze smakiem. Chcę sobie poczytać przed snem.

Kiedy szedł do swej kwatery, czuł łagodne pobrząkiwanie ścian i podłogi korytarza, co oznaczało, że statek wszedł w przestrzeń rzeczywistą. Pojazd nie potrzebował instrukcji od Gillette'a - bazując na wielkości i charakterystykach gwiazdy, wyliczył już bezpieczną i dogodną orbitę parkingową. Następnego ranka wszystkie planety - o ile w ogóle tu istnieją - będą na pewno nadal czekać na doktora Gillette'a, by je zbadał, zaklasyfikował, nazwał i porzucił.

Jeśli, oczywiście, nie znajdzie gdzieś życia.

Znalezienie życia było jednym z głównych celów podróży. Szybko stało się to również celem życiowym Gillette'ów. Wyruszyli jako pełni entuzjazmu badacze: doktor Leslie Gillette, trzydziestopięcioletni, już wpływowy pisarz i wykładowca egzobiologii teoretycznej, i jego żona, Jessica Reid Gillette, dziekan wydziału biochemii wielkiego uniwersytetu na Środkowym Zachodzie. Byli małżeństwem od jedenastu lat, a decyzję wyruszenia w podróż podjęli po śmierci swego jedyne dziecko.

Teraz sunęli przez kosmos ku odległym rubieżom galaktyki. Dawno, dawno temu ziemskie Słońce zniknęło z pola widzenia. Egzobiologia, na temat której tam, w domu, obydwójce Gillette'owie rozmyślali, pisali i sprzeczekali się, pozostała dokładnie tym, czym była wtedy - zaledwie teorią. Zwiedzili tysiące układów planetarnych, tysiące planet - potencjalnych siedlisk życia, ale odkrycie jakiegokolwiek jego formy, choćby najbardziej prymitywnej, nadal mieli przed sobą. Urządzenia laboratoryjne na lądownikach odsyłały tę samą frustrującą odpowiedź: nie ma życia; martwa; sterylna. Z roku na rok galaktyka jawiła się Gillette'om jako rozległe i przerażające zbiorowisko nieczułych skał i płonącego gazu.

- Czy przypominasz sobie - spytała pewnego dnia Jessica - co mawiał staruszek Hayden?

Gillette uśmiechnął się.

- Uwielbiałem prowokować tego faceta do sprzeczek - odparł.

- Powiedział mi raz, że może i znajdziemy życie, ale na znalezienie życia inteligentnego mamy takie same szanse, jak na znalezienie w piekle śnieżnej kuli.

Gillette z przyjemnością przypomniał sobie tę dyskusję.

- A ty go nazwałaś ziemskim szowinistą. Ogromnie mi się to podobało. Wymyśliłaś na poczekaniu nową kategorię bigoterii. Myśleliśmy, że jest takim konserwatywnym, starym dziwakiem. Teraz wygląda na to, że nawet on był zbyt wielkim optymistą.

Jessica stała za krzesłem męża, czytając, co pisał.

- Jak sądzisz, co by powiedział Hayden, gdyby wiedział, że nie znaleźliśmy ani tyci tyci?

Gillette obrócił się i spojrzał na nią.

- Myślę, że nawet on byłby rozczarowany - rzekł. - A także zdziwiony.

- Nie tego oczekiwałam - stwierdziła.

Absolutna nieobecność nawet najprostszych form życia była z początku irytująca, potem zagadkowa, w końcu złowieszcza. Wkrótce nawet Leslie Gillette, który zawsze usiłował oddzielać emocje od logicznego myślenia, musiał sobie uświadomić, że te empiryczne wnioski przeczą wszystkim matematycznym przepowiedniom, sformułowanym przez ludzi i maszyny. W sterowni wisiał oprawiony w ramki kawałek papieru welinowego, na którym widniał pięknie wypisany kursywą wzór:

$$N = R^* f_p n_e f_1 f_i f_c L$$

Formuła określała przybliżoną liczbę zaawansowanych cywilizacji technicznych, których człowiek mógł się spodziewać w swojej galaktyce. Wyprowadzono ją przed dziesięcioleciami. Zmiennym we wzorze nadano realistyczne wartości, zgodnie z wiedzą naukową tamtego czasu. N było wyznaczone przez siedem czynników:

$R^*$  - średnia szybkość formowania się gwiazd w galaktyce (nadano jej wartość dziesięć na rok);

$f_p$  - procent gwiazd posiadających planety (bliski stu);

$n_e$  - średnia liczba planet ze środowiskiem nadającym się do życia w każdym układzie planetarnym (nadano temu wartość jeden);

$f_1$  - procent tych planet, na których życie się rzeczywiście rozwinęło (około stu);

$f_i$  - procent planet, na których rozwinęło się życie inteligentne (dziesięć);

$f_c$  - procent planet, na których rozwinęła się cywilizacja techniczna (dziesięć);

$L$  - czas życia cywilizacji technicznej (przyjęto dziesięć milionów lat).

Liczby te pozwoliły ocenić wielkość  $N$  - liczbę zaawansowanych cywilizacji w galaktyce Droga Mleczna - dziesięć do szóstej potęgi. Milion. W pierwszych latach rozczarowań Gillette'owie cały czas mieli tę formułę w głowie. Ale przecież nie szukali zaawansowanej cywilizacji, szukali życia. Jakiegokolwiek życia. Jakies sześć lat po opuszczeniu Ziemi Leslie i Jessica wędrowali po suchej, piaszczystej powierzchni chłodnego świata, obracającego się wokół małego, chłodnego słońca.

- Nie widzę żadnej zaawansowanej cywilizacji - rzekła Jessica, schylając się, by ciężką rękawicą skafandra ciśnieniowego trącić pył.

- Żadnego - przyznał mąż. - W polu widzenia nie ma ani jednego kiosku z hamburgerami.

Nie lubił zbyt często spoglądać na niebo, które miało kolor czerwonawofioletowy. Obserwował Jessicę przesuającą palcami po pozbawionej życia glebie.

- Wiesz - powiedziała - zgodnie z tym wzorem w każdym systemie powinna znajdować się przynajmniej jedna planeta nadająca się do życia.

Gillette wzruszył ramionami.

- W wielu układach się znajduje - odpowiedział. - Ale również zgodnie z nim na każdej planecie, na której może istnieć życie, to życie się w końcu pojawi. Możliwe, że gdy wybierali wartości dla swoich zmiennych, podchodzili do sprawy ze zbytnim entuzjazmem.

Jessica zaśmiała się.

- Możliwe. - Wykopała w powierzchni płytki dołek. - Wciąż mam nadzieję, że natrafie na jakieś mrówki, robaki czy cokolwiek.

- Nie tutaj, kochanie - rzekł Gillette. - Chodź, wracajmy.

Wstała z westchnieniem. Powrócili do lądownika.

- Co za pustkowie - stwierdziła, gdy przygotowywali się do startu. - Dałam swej wyobraźni całkowitą wolność. Jestem przygotowana na zobaczenie tam na dole czegośkolwiek, jakichś warzyw lub czegoś jeszcze dziwniejszego. Rozumiesz, tańczące kryształy czy myślące chmury. Lecz zupełnie się nie spodziewałam takiej ilości niczego.

Lądownik wystrzelił przez cienką atmosferę ku orbitującemu statkowi-matce.

- Uczony powinien być przygotowany na takie rzeczy - rzekł smętnie Gillette. - Ale zgadzam się z tobą. Zdaje się, że doświadczenie niepokojąco zaprzecza wszelkim prognozom.

Jessica poluzowała pas bezpieczeństwa i wzięła głęboki oddech.

- Powiedziałabym, że to matematycznie nieprawdopodobne. Mam zamiar przyjrzeć się dzisiaj temu wzorowi i zobaczyć, która ze zmiennych wszystko psuje.

Gillette potrząsnął głową.

- Robiłem to wielokrotnie - rzekł. - Nie zaprowadzi cię to zbyt daleko. Wynik zawsze będzie bardzo różny od tego, cośmy znaleźli.

Na miriadach światów, które zwiedzili, nie spotkali nic, choćby czegoś tak prostego jak algi czy pierwotniaki, nie mówiąc już o życiu inteligentnym. Ich biochemiczne czujniki niczego nie wykryły, niczego, co by choć wskazywało w tym kierunku, jak na przykład jakieś złożone proteiny. Jedynie skały, kurz, puste wiatry i pozbawione życia kałuże.

Rankiem, dokładnie tak jak to przewidywał, planety znajdowały się wciąż na swoich miejscach. Pięć, krążących dokoła skromnej gwiazdy, typ G3, niezbyt różniące się od ziemskiego Słońca.

- Gwieździe nadaję nazwę Hannibal - powiedział do komputera statku. - Zaczynając od najbliższej Hannibala, planety nazywam: Huck, Tom, Jim, Becky i Ciotka Polly. Będziemy kontynuować badania.

Instrumenty mogły dokonać niezbędnych pomiarów, lecz w sprawie istnienia życia Gillette nie uwierzyłby im na słowo. Zagadnienie było tak ważne, że czuł, iż musi sam dokonać ostatecznej oceny.

Ospowaty od kraterów, gorący, suchy i martwy Huck był żelazowoniklową kulą wielkości Marsa o barwie rdzawobrazowej. Tom był większy i ciemniejszy, lecz równie uszkodzony przez zderzenia i równie martwy. Jim był podobny do Ziemi; miał dość grubą atmosferę tlenu i azotu, której temperatura wahała się w zakresie od  $-30^{\circ}\text{C}$  do  $+50^{\circ}\text{C}$ , a na powierzchni planety występowała w wielkich ilościach woda. Lecz nie było tam życia - ani na skalistym, zakurzonym lądzie, ani w wodzie z rozpuszczonymi solami mineralnymi. Nic, nawet cyjanobakterii. Z Jimem Gillette wiązał największą nadzieję, lecz zbadał również Becky i Ciotkę Polly. Były to mniej gęste gazowe giganty systemu, nie tak jednak wielkie jak Uran czy Neptun. Ani w ich gęstych jak zupa atmosferach, ani na magmowych powierzchniach ich satelitów nie istniało życie. Gillette nie zatroszczył się, by nazwać dwadzieścia trzy księżycy pięciu planet; postanowił zostawić to ludziom, którzy przyjdą po nim. Jeśli ktoś kiedyś tu przyjdzie.

Potem musiał pomyśleć o drugim celu wyprawy. Wokół Jima, najbardziej nadającej się do zamieszkania planety układu, umieścił orbitującą bramę transmisyjną. Teraz statek, idący jego śladem, mógł przebyć dziesiątki lat świetlnych natychmiast, korzystając z bramy, którą ustawił na poprzednim postoju. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, jak tamten system wyglądał i jak go nazwał. Po tylu latach wszystkie mu się mieszały, zwłaszcza że wyglądały niemal identycznie i były tak kompletnie pozbawione życia.

Usiadł przy ekranie i patrzył w dół, na Jima, na brązowawe, piaszczyste kontynenty, niebieskie morza, białe obłoki i polarne czapki. Kot, szary maine coon, jego jedyny towarzysz, wdrapał mu się na kolana. Benny był prawnukiem Methyla i Ethyl, dwóch kociąt, które zabrała ze sobą Jessica. Gillette podrapał zwierzę za uszami i pod brodą.

- Dlaczego tam w dole nie ma żadnych kotów? - spytał.

W odpowiedzi Benny jedynie długo mruczał. Po chwili Gillette'a zmęczyło to patrzeć na milczący świat. Przeprowadził badania, ustawił bramę i teraz pozostało mu

jedynie wysłać na Ziemię informację i ruszyć dalej. Przekazał instrukcje komputerowi statku i za pół godziny gwiazdy znikły, a Gillette znowu podróżował przez ciemność zeroprzestrzeni.

Pamiętał, jak jakieś trzydzieści lat temu podnieceni byli wyprawą. On i Jessica złożyli swoje podania i zostali wybrani z przyczyn, których Gillette do końca nie rozumiał.

- Mój ojciec uważa, że każdy, kto chce pędzić przez galaktykę do końca swego życia, musi być odrobinę szalony - rzekła Jessica.

Gillette uśmiechnął się.

- Odrobinę niezrównoważony, możliwe, ale nie szalony.

Leżeli w trawie za domem i patrzyli w nocne niebo, zastanawiając się, którą z tych jasnych diamentowych gwiazd wkrótce odwiedzą. Projekt postrzegali jako cudowne wakacje, odpoczynek po tragedii, okazję, by przeanalizować swe życie i swój związek, bez miliona wspomnień, które wiązały ich z przeszłością.

- Powiedziałam ojcu, że to dla nas wspaniała okazja - rzekła. - Powiedziałam, że z naukowego punktu widzenia nie mogliśmy się spodziewać bardziej ekscytującej szansy.

- Uwierzył?

- Spójrz, Leslie, spadająca gwiazda. Wypowiedz życzenie. Nie, nie sądzę, by mi uwierzył. Powiedział, że rada nadzorcza projektu jest na pewno tego zdania co on: jedyna przyczyna, dla której zostaliśmy wybrani, to nasze szaleństwo czy też może nasze niezrównoważenie odpowiedniego typu.

Gillette połaskotał żonę w ucho długim źdźbłem trawy.

- Ponieważ niewykluczone, że resztę życia spędzimy na oglądaniu gwiazd i światów.

- Powiedziałam mu, że najwyżej pięć lat, Leslie. Pięć lat. Powiedziałam, że gdy tylko znajdziemy coś, co rozpoznamy jako żywą materię, możemy zawrócić do domu. I jeśli będziemy mieć odrobinę szczęścia, możemy to znaleźć na jednym z pierwszych przystanków. Możliwe, że będziemy nieobecni zaledwie kilka miesięcy lub rok.

- Miejmy nadzieję - rzekł Gillette.

Patrzyli na niebo, czując, jak ciśnie ich jakimś strasznym ciężarem, jak gdyby nieskończone odległości zamieniły się na masę i wagę. Gillette zamknął oczy.

- Kocham cię - szepnął.

- Ja też cię kocham, Leslie - powiedziała cicho. - Boisz się?

- Tak.

- To dobrze - rzekła. - Bałabym się z tobą jechać, gdybyś także nie był zaniepokojony. Lecz nie ma się czego bać. Będziemy ze sobą i to będzie fascynujące. Zabawniejsze,

niżbyśmy mieli spędzić następne parę lat tu na miejscu, robiąc te same rzeczy, wykładając magistrantom i pijąc sherry z noblistami.

Gillette zaśmiał się.

- Mam tylko nadzieję, że gdy powrócimy, ktoś będzie pamiętał, kim jesteśmy. Już widzę sytuację za dwa lata - poleciliśmy, wróciliśmy, a tu nikt nawet nie pamięta, o co chodziło w tym projekcie.

Pożegnanie z ojcem Jessiki okazało się dość trudne. Pan Reid nadal nie wiedział, dlaczego chcą opuścić Ziemię.

- Wielu młodych ludzi poniosło taką samą stratę jak wy - powiedział. - Ale jakoś ciągną. Nie przekreślają swego życia.

- Nic nie przekreślamy - tłumaczyła Jessica. - Tato, chyba musiałbyś być biologiem, żeby to zrozumieć. Szansa odkrycia gdzieś istot żywych jest bardziej ekscytująca niż wszystko, co moglibyśmy robić tu na miejscu. I wkrótce wrócimy. To praca w terenie, największe wyzwanie. Obydwoje zawsze woleliśmy coś takiego od kariery akademickiej na jakimś uniwersytecie.

Reid wzruszył ramionami i ucałował córkę.

- Jeśli jesteście tacy pewni...

Było to wszystko, co miał do powiedzenia. Uścisnął Gillette'owi dłoń.

Jessica podniosła wzrok na potężny pojazd kosmiczny.

- Chyba tak - odpowiedziała.

Nie było więcej do dodania. Parę godzin później opuścili Ziemię. Wyglądając przez okno i obserwując ekrany, widzieli, jak kurczy się coraz bardziej.

Początkowo życie na statku wydawało im się dziwne, lecz szybko weszło w utartą tory. Musieli przyznać, że wprawdzie sam pomysł lotów międzygwiazdnych jest podniecający, to jednak ich praktyka jest nudniejsza, niż sobie wyobrażali. Dwa kociaki nie miały trudności z przystosowaniem się i Gillette'ów cieszyło ich towarzystwo. Gdy statek znalazł się milion kilometrów od Ziemi, przesunęli się w zeroprzestrzeń i po raz pierwszy byli naprawdę izolowani.

To napawało strachem. W zeroprzestrzeni nie można było w żaden sposób komunikować się z Ziemią. Statek stał się samoistnym, małym światem i w niebezpiecznych chwilach, gdy Gillette pozwalał swojej wyobraźni na zbyt wielką swobodę, milcząca pustka wokół wydawała mu się nowym rodzajem szaleństwa lub śmierci. Obecność Jessiki uspokajała go, z ulgą jednak przyjął powrót do normalnej przestrzeni, w pobliże niezbadanego układu planetarnego.

Ich pierwszym obiektem była mała, przyćmiona gwiazda klasy M - najbardziej powszechny rodzaj w galaktyce - z dwiema tylko planetami i mnóstwem okrążającego ją asteroidalnego gruzu.

- Jak nazwiemy tę gwiazdę, kochanie? - spytała Jessica.

Obydwoje patrzyli przez okno z rodzicielską niemal czułością.

Gillette wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że najłatwiej pozostać przy systemie mitologicznym, jakiego używają w domu.

- To chyba dobry pomysł. Mamy jedną gwiazdę i dwie małe, krążące wokół niej planety.

- Czy przypadkiem Apollo nie miał... Nie, pomyliłem się. Myślałem...

Jessica odwróciła się od okna.

- Przypomina mi Odyna i jego dwa kruki.

- Miał dwa kruki?

- Owszem - odpowiedziała. - Myśl i Pamięć. Huginn i Muninn.

- Doskonale. Nazwiemy więc gwiazdę Odynem, a planety tak jak powiedziałaś. Cieszę się, że mam cię przy sobie. Jesteś w tym o wiele lepsza ode mnie.

Jessica zaśmiała się. Nie mogła się doczekać badania planet. To będzie pierwsze urozmaicenie ich monotonnej podróży. Ani Leslie, ani Jessica nie spodziewali się, że znajdą życie na tych dwóch opuszczonych światach, lecz z przyjemnością wykonali szczegółowe badania. Zafascynowani wędrowali po pępnych, samotnych przestrzeniach Huginna i Muninna, wykonali testy i w końcu wrócili do swego orbitującego statku. To, co znaleźli, odesłali na Ziemię, ustawili pierwszą z bram transmisyjnych i niezbyt nawet rozczarowani, opuścili układ. Czuli, że skontaktowali się z rodzinnym światem, choć ich wiadomość miała dotrzeć na Ziemię po długim czasie, a oni oddalali się zbyt szybko, by kiedykolwiek dostać odpowiedź. Wiedzieli jednak, że jeśli tylko zechcą, mogą zawsze zawrócić i skierować się z powrotem ku Ziemi.

Potrzeba wiedzy gnała ich jednak naprzód. Wtedy jeszcze samotność nie stała się nieznośna. Nie zrodził się jeszcze przerażający strach.

Bramy miały służyć ludziom, którzy ruszyli za Gillette'ami w niezasiedlone obszary galaktyki; można je było wykorzystać do podróży naprzód, lecz nie można było przez nie powracać. Bramy, niczym strusie jaja napełnione wodą i zostawione przez tubylców na afrykańskiej pustyni, sprawiały, że dla innych ta podróż stawała się bezpieczniejsza i wygodniejsza, że mogli dotrzeć jeszcze dalej.



Za każdym razem gdy Gillette'owie opuszczali jeden układ planetarny i poprzez zeroprzestrzeń udawali się do następnego, zostawiali kolejną otchłań czasu i przestrzeni między sobą a macierzystym światem.

- Czasami czuję się bardzo dziwnie - przyznał Gillette po ponad dwu latach podróży. - Czuję, jak gdyby kontakt, który mamy z Ziemią, był tylko złudzeniem, czymś, co wymyśliliśmy jedynie po to, by pozostać przy zdrowych zmysłach. Czuję, jak gdybyśmy składali znaczną część naszego życia w ofierze czemuś, co może nikomu się nigdy nie przyda.

Jessica słuchała posępnie. Miała te same odczucia, lecz nie chciała, by mąż o tym wiedział.

- Czasami wydaje mi się, że praca na uniwersyteckiej sali wykładowej jest czymś najbardziej godnym pożądanym. Czasami przeklinam siebie, że nie dostrzegałem tego wcześniej. Lecz nie trwa to długo. Za każdym razem, gdy schodzimy na nowy świat, mam nadzieję. To tylko tygodnie w zeroprzestrzeni dają mi się we znaki. Wyobcowanie jest wtedy takie wyraźne.

Gillette spojrział na nią ze smutkiem.

- A jakież to będzie miało znaczenie, jeśli nawet odkryjemy życie? - zapytał.

Milcząco, patrzyła na niego przez chwilę wstrząśnięta.

- Nie myślisz tak naprawdę - rzekła w końcu.

Gillette'owi, jak niejednokrotnie w przeszłości, w sukurs przyszła ciekawość naukowca.

- Nie - rzekł cicho. - Przeciwnie. To ma znaczenie. - Podniósł w górę jednego z kociaków; Ethyl urodziła trzy. - Niech tylko odkryję, że coś takiego czeka na jednej z tych wielu planet, a będzie to warte całego wysiłku.

Mijały miesiące. Gillette'owie odwiedzili gwiazdy i dalsze planety, zawsze z tym samym wynikiem. Po trzech latach wciąż pełną mocą oddalali się od Ziemi. Przeszedł rok czwarty i piąty. Ich nadzieje zaczęły maleć.

- Trochę mnie to trapi - rzekł Gillette, gdy siedzieli nad szarym oceanem na świecie, który nazwali Carraway. Była tam szeroka plaża czystego, białego piasku, ograniczona od lądu wysokimi wydmami. Fale łamały się bez końca i podchodziły im do stóp spienioną krawędzią. - Chodzi mi o to, że nigdy nie widzimy nikogo za sobą ani nic nie słyszymy. Wiem, że to niemożliwe, lecz miewałem taki zwariowany sen, że ktoś idzie za nami przez bramy, a potem skacze przed nami przez zeroprzestrzeń. Ten ktoś czekał na nas przy jakiejś

gwieździe, do której jeszcze nie dotarliśmy. Jessica zbudowała z mokrego piasku płaski pagórek.

- Tu jest dokładnie tak, jak na Ziemi - rzekła. - Jeśli zapomni się o tym zielonkawym niebie. I jeśli nie myśli się, jak to możliwe, że na wydmach nie ma trawy, a na plaży - muszelek. Czemuż ktoś miałby podążać za nami w ten sposób?

Gillette leżał na plecach na czystym białym piasku i słuchał kojącego dźwięku fal.

- Nie wiem - rzekł. - Może na którejś z planet sprawdzonych przez nas przed laty istniała jakaś absurdalna forma życia. Może popełniliśmy błąd i coś przeoczyliśmy, albo na przykład źle odczytaliśmy wskazania mierników. A może narody Ziemi zniszczyły się w wojnie, zostałem jedynym żyjącym ludzkim samcem i samotne kobiety świata posłały za mną zwiad?

- Zwariowałeś, kochanie - rzekła Jessica. Nasypała trochę wilgotnego piasku na nogawki swego skafandra próżniowego.

- Może powrócił Chrystus i stwierdził, że bez nas czegoś tam brakuje. Kiedy jestem tutaj, za każdym razem, gdy wskakujemy do normalnej przestrzeni wokół gwiazdy, mam nadzieję, że napotkamy inny oczekujący nas statek. - Choć nigdy się to nie zdarzyło.

- Szkoda, że nie mam kijka - stwierdziła Jessica. Zgarnęła na kupę więcej mokrego piachu, patrzyła na nią przez kilka sekund, a potem podniosła wzrok na męża. - Czy w domu mogło się stać coś szczególnego? - spytała.

- Kto wie, co się tam już wydarzyło w ciągu tych pięciu lat? Pomyśl o wszystkim, co opuściliśmy, kochanie. Pomyśl o książkach i filmach. Pomyśl o odkryciach naukowych, o których w ogóle nie słyszeliśmy. Może nastąpił pokój na Bliskim Wschodzie, może odkryto rewolucyjne, nowe źródło energii, może w Białym Domu mieszka Murzynka. Może Cubsi zdobyli mistrzostwo? Któż to wie?

- Nie przesadzaj, kochanie - odpowiedziała.

Wstali, otrzepali piasek, który przyłgnał do skafandrów, i ruszyli do lądownika. Godzinę później, na pokładzie statku-matki, Gillette obserwował koty. Zupełnie je nie obchodził Bliski Wschód - być może miały rację.

- Powiem ci jedno - rzekł do żony. - Powiem ci, kto wie, co się wydarzyło. Ludzie tam w domu wiedzą. Wiedzą wszystko o wszystkim. Jedyłą rzeczą, o której nie mają pojęcia, to to, co się z nami w tej chwili dzieje. I mam wrażenie, że łatwiej im żyć ze swoją ignorancją niż mnie z moją.

Kot, który miał wyrosnąć na matkę Benny'ego, zwinął się w miły kłębuszek i zasnął.

- Czujesz się odcięty - stwierdziła Jessica.

- Oczywiście - odparł Gillette. - Pamiętasz, co mówiłaś? Zanim się pobraliśmy i powiedziałem ci, że chciałbym tylko kontynuować swą pracę, a ty mi powiedziałaś, że jeden człowiek to żaden człowiek? Pamiętasz? Zawsze mówiłaś tego rodzaju rzeczy, tak że musiałem cię pytać, o co ci, do diabła, chodzi. I wtedy uśmiechałaś się i opowiadałaś historyjkę, którą wcześniej przygotowałaś. Chyba to lubiłaś. Tak więc powiedziałaś. „Jeden człowiek to żaden człowiek”, a ja spytałem: „Co to znaczy?”, a ty mówiłaś o tym, że jeśli mam zamiar żyć zupełnie sam, to mógłbym właściwie w ogóle zupełnie nie żyć. Nie pamiętam dokładnie, jak to sformułowałaś. Masz ten zwariowany sposób mówienia rzeczy, które nie mają w sobie ani ociupinki logiki, lecz zawsze mają sens. Powiedziałaś, że bym wyobraził sobie, jak siedzę w swej wieży z kości słoniowej, patrzę przez mikroskop, notuję to, co znalazłem, i wysyłam od czasu do czasu małe obwieszczenia o tym, co robię i jak się czuję. I że nie będę zdziwiony, jeśli nikogo to ani trochę nie zainteresuje. Powiedziałaś, że muszę żyć między ludźmi, że bez względu na to, jak bardzo będę się starał, nie ucieknę od tego. I że nie mogę wdrapać się na drzewo i postanowić, że zapoczątkuję swój własny gatunek. Ale myliłaś się, Jessico. Można uciec od ludzi. Spójrz na nas. - W jego głosie brzmiała gorycz. - Spójrz na mnie - rzekł cicho.

Spojrzał na swe odbicie i przestraszył się. Wyglądał staro. Gorzej - wyglądał na nieco szalonego. Odwrócił się szybko, z oczami pełnymi łez.

- Nie jesteśmy naprawdę odcięci - rzekła łagodnie. - Nie, dopóki jesteśmy razem.

- Tak - odparł, lecz wciąż czuł się na uboczu.

Jego poczucie przynależności do ludzkości malało wraz z przemijającymi miesiącami. Nie wykonywał żadnych funkcji, które by uznał za szczególnie ludzkie. Odczytywał wskazania mierników i naciskał guziki. Ale mogły to robić maszyny, można było wytresować do tego zwierzęta. Czuł się niepotrzebny jak zepsuta częśćka kartofla, odcięta i wyrzucona.

Jessica nie dopuściła, by jego depresja przemieniła się w szaleństwo. Był znacznie wrażliwszy od niej na skutki izolacji. Ich praca podtrzymywała Jessicę, lecz według jej męża tylko podkreślała daremność ich wysiłków.

- Miewam dziwne myśli, Jessico - wyznał jej w dziesiątym roku podróży. - Od czasu do czasu przychodzą mi do głowy. Początkowo zupełnie nie zwracałem na nie uwagi. Potem zacząłem, ale wystarczyła chwila, a już wiedziałem, że to myśli idiotyczne.

- Jakie myśli? - spytała.

Przygotowywali lądownik, który miał ich zabrać na duży, czerwony świat. Gillette sprawdził oba skafandry ciśnieniowe i umieścił je na pokładzie.

- Czasami wydaje mi się, że nigdzie indziej nie ma żadnych ludzi, że to wszystko płód mojej wyobraźni. Że nigdy nie przybyliśmy z Ziemi, że dom i wszystko, co sobie przypominam, to tylko złudzenia i fałszywe wspomnienia. Tak jak gdybyśmy zawsze byli na tym statku, przez całą wieczność, i że jesteśmy absolutnie sami w tym całym wszechświecie.

Mówiąc to, ścisnął ciężkie drzwi śluzy powietrznej lądownika, aż zbieleły mu knykcie. Czuł, jak serce mu przyspiesza, usta wysychają, i wiedział, że za chwilę chwyci go następny atak trwogi.

- Wszystko w porządku, Leslie - uspokajała go Jessica. - Myśl o czasach, które spędziliśmy razem w domu. To nie może być kłamstwo.

Oczy Gillette'a rozwarły się szerzej. Przez moment miał trudności z oddychaniem.

- Tak - szepnął - to może być kłamstwo. Ty też możesz być halucynacją.

A widząc, dokąd prowadzi go jego niedomagający umysł, zaczął łkać.

Jessica trzymała go w uścisku, gdy atak przybierał na sile, i potem, gdy już słabł. Po kilku chwilach Gillette odzyskał swój zwykły, rozsądny wygląd.

- Ta wyprawa jest znacznie cięższa, niż przewidywałem - szepnął.

Jessica pocałowała go w policzek.

- Po tych wszystkich latach musimy być przygotowani na pewne problemy - rzekła. - Nigdy nie planowaliśmy, że potrwa to aż tak długo.

Układ, w którym się znaleźli, złożony był z następnej gwiazdy typu M i dwunastu planet.

- Mnóstwo pracy - stwierdził, rozjaśniając się nieco. - Powinno nam to zająć parę tygodni. To lepsze niż spadanie przez zeroprzestrzeń.

- Tak, kochanie - odpowiedziała. - Czy wymyśliłeś już nazwy?

Wynajdywanie nowych nazw dla wszystkich gwiazd i ich satelitów stało się najbardziej żmudną częścią misji. Po ośmiu tysiącach układów wyczerpali całe zasoby mitologiczne, historyczne i geograficzne, wszystkie słowa, jakie pamiętali. Teraz każde z nich kolejno proponowało nazwy, upamiętniając graczy baseballu, pisarzy i gwiazdy filmowe.

Mieli zamiar zbadać pustynny świat, który nazwali Rick, od bohatera „Casablanki”. Choć było nieprawdopodobne, że będzie nadawał się do życia, czuli potrzebę zbadania go osobiście, po prostu na wszelki wypadek, a nuż, a widelec, jak mawiała matka Gillette'a.

To wspomnienie zmusiło go do chwili refleksji. Spokojnie się uśmiechnął. Od lat powiedzonko to nie przychodziło mu do głowy. Tamto załamanie było punktem krytycznym w podróży. Nigdy więcej, gdy była z nim Jessica, nie zbliżył się tak bardzo do utraty władz

umysłowych. Tulił się do żony i do swoich wspomnień, jak do tarczy przeciw zimnym, niszczącym siłom rozległej pustki kosmosu.

Jeszcze raz lata przemknęły obok. Przeszłość rozmyła się w nieczytelną mgiełkę, przyszłość nie istniała. Życie w teraźniejszości stanowiło dla Gillette'ów zbawienie i przekleństwo zarazem. Czas mijał im na procedurach i niezmiennych obowiązkach, nie bardziej żmudnych niż te, które znali na Ziemi, ale również nie bardziej ekscytujących.

Gdy zbliżał się dwudziesty rok ich wspólnej wyprawy, Gillette przeżył tragedię. Na nienazwanym świecie, setki lat świetlnych od Ziemi, na skalistym wzgórku nad jałową piaskowcową doliną, Jessica zmarła. Pochyliła się, by pobrać próbkę gleby - zużyty szew w jej skafandrze ciśnieniowym pękł, ostrzegająco zasyczały gazy, przechodzące przez podbicie do wnętrza skafandra. I padła na kamienisty grunt martwa. Mąż patrzył, jak umiera, niezdolny do udzielenia jakiegokolwiek pomocy - tak szybko zabiła ją trucizna. Siedział przy niej, kiedy dzień planetarny zmienił się w noc, i przez długie, zimne godziny, aż do świtu.

Pochował ją na tym świecie, któremu nadał imię Jessica, i pozostawił ją tam na zawsze. Umieścił bramę transmisyjną na orbicie planety, skończył przegląd reszty układu i skierował się ku następnej gwiazdzie. Pogrążony w żalu, przez wiele dni nie opuszczał łóżka.

Pewnego ranka Benny, kotek, wdrapał się na górę i położył tuż przy nim. Zwierzę nie dostawało jedzenia prawie przez tydzień.

- Benny - powiedział cicho samotny mężczyzna. - Chciałbym, żebyś zdał sobie z czegoś sprawę. Nie możemy powrócić do domu. Gdybym w tej sekundzie zawrócił statek i pędził do domu cały czas przez zeroprzestrzeń, zabrałoby to dwadzieścia lat. Gdybym nawet dożył chwili, gdy dotrzemy do Ziemi, miałbym ponad siedemdziesiątkę. A nie spodziewam się, bym żył tak długo.

Odtąd wykonywał swe obowiązki mechanicznie, bez tego entuzjazmu, jaki kiedyś dzielił z Jessicą. Nie miał innego wyboru prócz kontynuowania podróży i robił to, lecz samotność towarzyszyła mu jak cień śmierci.

Przestudiował swe wyniki i postanowił wysunąć próbną hipotezę roboczą.

- To niezwykle dane, Benny - stwierdził. - Musi istnieć jakieś proste wyjaśnienie. Jessica zawsze utrzymywała, że być może w ogóle nie ma żadnego wyjaśnienia, ale jestem pewien, że musi ono istnieć. Gdzieś, za tym wszystkim, musi kryć się jakieś znaczenie. Teraz mi powiedz, dlaczego nie znaleźliśmy Oznaki Numer Jeden życia na żadnym z tych dwudziestu kilku tysięcy zwiedzonych przez nas światów?

Benny nie miał w tym momencie wiele do zasugerowania. Śledził Gillette'a swymi wielkimi żółtymi oczami, a mężczyzna spacerował po pomieszczeniu.

- Przerabiałem już to wszystko - rzekł Gillette - i przychodziły mi do głowy teorie, ale nadzwyczaj trudno się z nimi pogodzić. Jessica pomyślałaby, że już na pewno zwariowałem. Moi przyjaciele na Ziemi przeżyliby ciężkie chwile, zapoznając się z nimi. Ale w badaniach takich jak nasze przychodzi moment, w którym musisz odrzucić wszystkie spodziewane rezultaty i wniknąć głęboko w to, co się rzeczywiście uzyskało. Rozumiesz, nie tego chciałem. Jestem pewien, że oboje z Jessicą oczekiwaliśmy czegoś innego. Ale właśnie to się wydarzyło.

Gillette usiadł przy biurku. Wspomnił Jessicę i zebrało mu się na płacz. Pomyślał jednak, że poświęcił resztę swego życia ich wspólnemu marzeniu o znalezieniu odpowiedzi w jakimś, wciąż jeszcze nieodkrytym, układzie planetarnym. Poświęcił się, by dla niej zdobyć tę odpowiedź. Jednym z błogosławieństw podczas lat rozczarowań był fakt, że dane statystyczne dawały się tak łatwo zinterpretować. Nie potrzebował komputera do porządkowania informacji - miał do czynienia z jednym długim ciągiem zer. Nauka oparta jest na teoriach, myślał. Niektóre mogą być do końca niepotwierdzone, lecz są przyjmowane z powodu przytłaczających danych doświadczalnych. Na przykład może nie istnieć taka rzecz jak grawitacja; może rzeczy ciągle spadają w dół na skutek jakiegoś skandalicznego kaprysu statystyki. Teraz, w każdej chwili, mogą zacząć spadać i w górę, i w dół - losowo, jak monety upadające do góry orłem lub reszką. I wtedy Powszechne Prawo Ciężenia będzie trzeba poprawić.

To była pierwsza i najbezpieczniejsza część rozumowania. Następnie przyszło poczucie, że istniało jedno decydujące zjawisko, mogące wyjaśnić ten paralizujący ciąg planet pozbawionych życia.

- Tak naprawdę nie chcę o tym na razie myśleć - przemówił cicho do ducha Jessiki. - Może w przyszłym tygodniu. Myślę, że najpierw odwiedzimy jeszcze parę układów.

Tak też uczynił. Dookoła gwiazdy klasy M krążyło siedem planet, potem była gwiazda klasy G z jedenastoma i klasy K z czternastoma. Wszystkie światy miały krater po kosmicznych zderzeniach i zapadliska, wygładzone napływem lawy. Gillette zwiedził trzy układy.

- Trzydzieści dwie planety - rzekł, trzymając Benny'ego na kolanach. - Ile to daje w sumie? - Benny nie wiedział.

Gillette z nikim nie mógł omówić tego zagadnienia. Nie mógł poradzić się naukowców na Ziemi; nawet Jessica była dla niego stracona. Miał jedynie swego cierpliwego, szarego kota, po którym nie można było oczekiwać wielu subtelnych analiz.

- Czy zauważyłeś - spytał człowiek - że im bardziej oddaliśmy się od Ziemi, tym bardziej jednorodnie wygląda wszechświat? - Jeśli nawet Benny nie zrozumiał słowa „jednorodny”, to nie dał tego po sobie poznać. - Jediną nienaturalną rzeczą, jaką widzieliśmy w ciągu tych wszystkich lat, była sama Ziemia. Życie na Ziemi jest jedynym, naprawdę odbiegającym od normy zjawiskiem, jakiego byliśmy świadkami w ciągu dwudziestu lat eksploracji. Co to, według ciebie, może znaczyć?

Na tym etapie rozważań nie oznaczało to dla Benny’ego nic, lecz zaczęło coś znaczyć dla Gillette’a. Wzruszył ramionami.

- Wszyscy moi przyjaciele odrzucali możliwość, że Ziemia może być sama we wszechświecie, że nigdzie, w nieskończonych obszarach wszechświata, może nie istnieć nic żywego. Oczywiście, spośród tych nieskończonych obszarów niewiele zbadaliśmy, lecz zero otrzymane dla wszystkich dwudziestu trzech tysięcy oznacza, że dzieje się coś niezwykłego.

Kiedy dwie dekady temu Gillette’owie opuszczali Ziemię, większość naukowców utrzymywała, że gdzieś tam musi być życie, mimo że nie było na to żadnych bezpośrednich czy pośrednich dowodów. Musiało być życie - należało się tylko na nie natknąć. Gillette spojrział na stary wzór, nadal wiszący tam, gdzie wisiał przez całą podróż. Jeśli jeden z tych czynników jest równy zeru, myślał, wtedy cały iloczyn jest zerem. Który to może być czynnik? Nie miał najmniejszej wskazówki, ale akurat to pytanie stawało się dla Gillette’a coraz mniej ważne.

W końcu nadszedł ten moment: Rok 30. A on wciąż leciał od Ziemi. Koniec życia Gillette’a znajdował się gdzieś tam, w czarnej ciszy. Ziemia zmieniła się w blade wspomnienie, mniej teraz realne niż sen z ubiegłej nocy. Benny stał się starym kotem, wkrótce umrze tak jak Jessica i Gillette zostanie zupełnie sam. Nie lubił o tym myśleć, lecz myśl o tym ciągle powracała.

Ale równie często rodziła się inna myśl. Wiedział, że to myśl irracjonalna, coś, co wykpiwał trzydzieści lat temu. Naukowe podejście kazało mu badać idee stałym, zimnym światłem rozumu, lecz ta nowa koncepcja nie utrzyma się przy takim mechanicznym oglądzie.

Zaczął myśleć, że może Ziemia jest jedyna we wszechświecie, jedyna z miliardów planet pobłogosławiona życiem.

- Muszę znowu przyznać, że nie przeszukałem nawet znaczącej części wszystkich światów w galaktyce - powiedział, jakby bronił przed Jessicą swego stanowiska. - Byłbym jednak głupcem, gdybym zignorował trzydzieści lat doświadczeń. Co to oznacza, gdy mówię,

że tylko na Ziemi jest życie? To nie jest stwierdzenie naukowe ani matematyczne. Statystyka wymagałaby istnienia innych światów z jakimiś formami życia. Ale co może przewyciężyć taki biologiczny imperatyw? - Czekał, aż Benny wysunie hipotezę. Kot okazywał powściągliwość. - Tylko akt wiary - rzekł cicho Gillette.

Przerwał, myśląc, że może usłyszy trzask, powątpiewający śmiech ducha Jessiki, lecz wokół panowała tylko brzęcząca, tykająca cisza statku.

- Pojedynczy akt stworzenia, na Ziemi - rzekł Gillette. - Czy wyobrażasz sobie, co by na to powiedzieli ci na uniwersytecie? Nie mógłbym się tam już w ogóle pokazać. Straciłbym całe zaufanie, jakim mnie obdarzali. Moja prenumerata „Science” zostałaby unieważniona. Odłączyłaby mnie lokalna kablówka.

Ale cóż innego mam myśleć? Gdyby któryś z tych ludzi spędził ostatnie trzydzieści lat w taki sposób jak my, doszedłby do takich samych wniosków. Niełatwo pogodziłem się z tą odpowiedzią. Wiesz o tym, Jessico. Nigdy nie pokładałem wiary w cokolwiek, czego sam nie byłem świadkiem. Nie wierzyłem nawet w istnienie Jerzego Waszyngtona, nie mówiąc już o podstawowych zasadach. Lecz przychodzi taka chwila, gdy uczonego musi zaakceptować najmniej atrakcyjne wyjaśnienie, skoro jedynie ono pasuje do faktów.

Gillette'owi było wszystko jedno, czy ma rację, czy nie i czy zbadał znaczącą liczbę światów, by urealnić swój wniosek. Musiał kolejno porzucić wszystkie swoje przesady i wykonać ostatni skok w wiarę. Coś, co wydawało mu się prawdą, poznał nie dzięki laboratoryjnym doświadczeniom, lecz dzięki impulsowi, jakiego nigdy wcześniej nie odczuwał.

Przez parę dni podobał mu się ten pomysł: życie zostało, z jakichś przyczyn, stworzone tylko na Ziemi i nigdzie indziej. Od tego momentu każda pozbawiona życia planeta, odkryta przez Gillette'a, stała się przykładem potwierdzającym jego hipotezę. Ale nagle, pewnej nocy, uświadomił sobie, na jak straszne przekleństwo się naraził. Jeśli Ziemia była jedynym schronieniem życia, dlaczego oddalał się wciąż od niej? Od Ziemi, gdzie również jego stworzono, gdzie wyznaczono mu miejsce pobytu.

Co zrobił sobie - i Jessice?

- Moja bezstronność zawiodła mnie, kochanie - powiedział do niej, niepokieszony. - Gdybym mógł pozostać chłodny i obiektywny, przynajmniej zachowałbym spokój umysłu. Nigdy bym nie wiedział, na jakie potępienie skazałem nas oboje. Lecz nie potrafiłem; bezstronność była kłamstwem, od samego początku. Gdy tylko zaczęliśmy coś mierzyć, przeszkadzało nam to, że jesteśmy ludźmi. Nie mogliśmy biernie obserwować wszechświata,



ponieważ żyjemy, jesteśmy ludźmi, myślimy i czujemy. Byliśmy więc skazani na poznanie w końcu prawdy i byliśmy przez nią skazani na cierpienie.

Żałował, że nie ma już z nim Jessiki, by go pocieszyła, tak jak czyniła to tyle razy. Już wcześniej czuł się izolowany, lecz nigdy nie było to takie dotkliwie. Teraz rozumiał ostateczne znaczenie alienacji - oddzielenia od swego świata i od siły, która go stworzyła. To nie jest jego miejsce. Jego miejsce było na Ziemi, pośród życia. Patrzył w okno i bezkresna czerń zdawała się wnikać do jego wnętrza, stapiając się z jego duchem i umysłem. W duszy czuł starszliwy chłód.

Na pewien czas Gillette został przez swe emocje pozbawiony zdolności działania. Gdy Jessica umarła, zdusił w sobie żal - nigdy właściwie nie pozwolił sobie na luksus odbycia żałoby. Teraz, wskutek nowych przekonań, strata żony uderzyła go z dodatkową siłą, mocniej niż kiedykolwiek przedtem. Pozwolił, by maszyny, wśród których żył, troszczyły się nie tylko o jego przetrwanie, ale by całkowicie przejęły sterowanie wyprawą. Obserwował, jak gwiazdy pałają w czerni, gdy statek wpadał w normalną przestrzeń. Gładził gęste, szare futro Benny'ego i wspominał wszystko, co w tak głupi sposób porzucił.

W istocie to właśnie Benny pozwolił przetrwać Gillette'owi ten okres. Między kolejnymi pieszczotami ręka człowieka zawisła w powietrzu; Gillette doświadczył olśnienia, tego, co wschodni filozofowie nazywają *satori*, chwili czystej jak diament jasności. Intuicyjnie wiedział, że popełnił błąd, który doprowadził go do uzalania się nad sobą. Jeśli życie zostało stworzone na Ziemi, wszystkie istoty żyjące były częścią tego stworzenia, bez względu na to, gdzie się znajdowały. Benny, szarowłosy kot, także był jego częścią, nawet zamknięty w tej mknącej wśród gwiazd blaszanej puszcze. Sam Gillette był jego częścią, gdziekolwiek by podróżował. Życie było tak samo obecne na statku kosmicznym, jak na Ziemi. To głupie ze strony Gillette'a, że myślał, iż kiedykolwiek mógł się od niego oddzielić - i właśnie to powtarzała mu zawsze Jessica.

- Benny! - rzekł Gillette, a po pomarszczonym policzku ściekała mu łza. Kot obserwował go łaskawie. Gillette czuł, jak zalewa go przyjemne ciepło, gdyż w końcu wyzwolił się ze swej samotności. - Wszystko to był tylko lęk przed śmiercią - szepnął. - Po prostu bałem się umierać. Nie uwierzyłbym w to! Myślałem, że jestem ponad tym wszystkim! Tak dobrze się od tego wyzwolić!

I kiedy spojrział znów na obracające się gwiazdy, galaktyka nie wydała mu się już pusta i czarna, lecz żywa i pełna twórczej energii. Wiedział, że jego odczucia nie ulegną zachwianiu, nawet jeśli następny świat, który odwiedzi, okaże się bujnym, pełnym życia

ogrodem - nie zmieni to nic ani na jotę, gdyż jego wiara nie opierała się już na liczbach i faktach, lecz na mocniejszym poczuciu w jego wnętrzu.

Nie miało to zupełnie żadnego znaczenia, dokąd zmierzał, jakie gwiazdy miał odwiedzić: bez względu na to, gdzie się udawał, zrozumiał wreszcie, że kieruje się do domu.

Przełożyli Grażyna Grygiel i Piotr Staniewski